

go, 7-letniego swego imiennika Marcinka. Idąc za trumna przyjaciela i patrząc na trzy sieroty stojące nad otwartym grobem najwięcej go żałował i nawet podczas Mszy żałobnej przemyślał o jego losie.

Medytował długo. Wreszcie, gdy kapłan kończąc nabożeństwo zaśpiewał: „Pater noster“, Marcin na zakończenie swych rozmyślań rzekł półgłosem do siebie:

— Wiem co zrobię, mały Marcinek będzie miał swego ojca.

Od tej chwili ciągle zerkał na chłopczyka siedzącego wraz z rodziną w jednej z ławek i patrząc na jego zbiedzoną twarzyczkę doznawał jakiegoś dziwnie miłego uczucia w sercu. Gdy zaś skończyło się nabożeństwo pierwszy prawie wyszedł z kościoła i choć nie był przecie krewnym zmarłego przyłączył się do jego rodziny i poszedł na poczęstunek do karczmy. Tu usiadł przy małym Marcinku z tkliwością patrząc, jak biedny chłopczyzna zjadał ze smakiem gorące parówki, podane liściową ręką krewnych.

— Czy lubisz kielbaski? — zwrócił się do chłopczyka Marcin.

— O tak — zawołał chłopczyk, nawet bardzo lubię. Ale teraz kto wie, czy będę je jadał, bo przecież tatuś nie żyje...

W tej chwili jakby na potwierdzenie tych słów starszy brat zawołał:

— Nie gadaj wiele Marcinku, tylko jedz teraz, bo to są pewnie ostatnie kielbaski, jakie wogóle jemy.

Łzy zaszkliły się w oczach 7-letniego sierotki i wnet spadły dużymi kroplami na wytarty rękaw jego kurteczki. Zobaczywszy te łzy Marcin uczuł straszne ścisnięcie serca i już bez namysłu postanowił wyjawić swą najszybszą

myśl. Wziął więc czule Marcinka za rękę i powiedział:

— Nie płacz mały. Twój brat myli się. Jeżeli tylko zechcesz możesz takie kielbaski jeść nawet codziennie. Powiedz mi, chcesz?

— O jabym chciał proszę pana, ale kto mi je da, jak tatuś nie żyje, — z prostotą odpowiedział Marcinek — patrząc smutnie załzawionemi oczyma.

To już było dla Marcina za wiele. Powstał szybko, podniósł chłopca z krzesła i powiedział:

— Chodź za mną Marcinku, a powiem ci coś dobrego.

Marcinek znał dobrze przyjaciela ojca, więc bez wahania opuścił ze swym chwilowym opiekunem karczmę i szedł cichutko za nim, aż stanęli przed domkiem Marcina.

Wprawdzie dziwnem wydawało mu się zupełne milczenie tego ostatniego, ale skąd miał ten mały Marcinek wiedzieć, że duży Marcin układa sobie teraz mowę, jaką miał wygłosić przed żoną, i że to mowa była najważniejszą i pierwszą wogóle w jego życiu. Studjował ją pilnie przez te krótkie 5 minut, jakie dzieliły go od domu, a mimo to z wahaniem i lękiem otwierał drzwi.

Nie bez trwogi także stanął przed żoną i jakając się rozpoczął przemówienie o małym sierotce. Tymczasem żona zagniewana, że wprost po pogrzebie nie wrócił do domu, lecz poszedł do karczmy, wcale na niego nie patrzyła. Marcinowi zdawało się, że mówi całe wieki, a gdy wreszcie skończył i czekał z niecierpliwością co też jego „baba“ powie, ta spojrziała z żalem raz i drugi na stojącego chłopczykę, i wreszcie ostro rzekła:

— Nie. Nawet mowy o tem być nie może.

— Dlaczego?, wrzasnął Marcin z